Rozmaitości

DNIA 14. CZERWCA N^er 24. 1834 ROKU.

## INWALID.

KRÓTKA PSYCHOLOGICZNA POWIASTKA

*z Wiener Zeitschrift für Kunst, Litteratur, Theater und Mode.*

Znałem pewnego Anglika, który wiele widział i doświadczał w świecie, lecz wszystko to umiał także z dziwnym opowiadać wdziękiem. W małém towarzystwie, w którém zwykle co wieczór schodziliśmy się, on tylko mówił najwięcéj, a wszyscy słuchali go z największą uwagą. Jednego wieczora opowiedział nam następującą prostą, ale niezawodnie nader ciekawą historyją, którą tutaj powtórzę:

Często miałem sposobność (mówił Anglik) przejeżdżać przez pewną wieś gościńcem z Saint-Albans, gdzie w końcu stała schludna i przyjemna gospoda, i tam zwykle wstępowałem i popasałem konia. Tamto widywałem często starego żołniérza, który oko, rękę i nogę utracił w służbie ojczyzny, a przeto, jak najsłuszniéj, przepędzał resztę życia w nieczynności, albo raczéj zatrudniając się tém, co mu się najlepiéj podobało. Podczas przyjemnéj pory roku siedział zwykle na ławce przed drzwiami gospody, z fajeczką w ustach i dzbankiem piwa koło siebie. W zimie odmieniał stanowisko, siadywał w izbie koło komina, ale fajki i dzbanka z piwem nie porzucał. Tak więc swoim sposobem cieszył się szczupłą płacą swoją, któréj tylko połowę pobierał, i drogo okupionym spokojem. Podczas gdy koń mój jadł obrok, rozmawiałem często z tym szanownym starcem przed gospodą na ławce. Ostatnią wyprawę odbył w Hiszpanii. O wszystkich innych rzeczach mówił z gadatliwością, jego wiekowi i stanowi właściwą, lecz, gdy się go pytano o ostatnią służbę wojskową, stawał się raptem ponury i milczący, i łatwo poznać było można, że mu nieprzyjemnie, a nawet boleśnie było, o tém mówić. Lecz, co mię najwięcéj w nim zajmowało, to jego przywiązanie do dzieci. Zawsze prawie otoczony był gronem małych jasno-włosych dziatek, i uważałem nie raz, jak gospodyni domu często dziecko swoje w pieluchach poruczała jednéj ręce tego starca, który nigdy nie był szczęśliwszym, jak w takich chwilach. Wtedy wyjmował fajkę z ust, zapominał o piwie i myślał tylko o powierzoném sobie dziecku, jakby się z niém pieścić, bawić je, a gdy było spiące, z lekka kołysać. Starsze dzieci cisnęły się około niego, łaziły mu po plecach, wysypywały fajkę, wywracały dzban z piwem i wszelkiéj z nim pozwalały sobie swawoli, a bynajmniéj je za to nie karcił. Mimo tego w pewnych chwilach zdawał się w smętném zamyśleniu pogrążony. Niekiedy, poglądając na dziecię, na jego kolanie uspione, skrapiał mimowolnie łzami swoje zmarszczone policzki.

Dnia jednego znowu koło gospody przejeżdżałem. Stary żołniérz siedział, jak zwyczajnie, przed drzwiami, otoczony swoimi małymi przyjaciołmi. Jedno z dzieci, zaledwo 3letnie, wybiegło raptem na środek drogi przed mój powóz, a ponieważ woźnica nie był w stanie tak prędko konie wstrzymać, znajdowało się więc w największém niebezpieczeństwie rozjechania. Lecz starzec zerwał się natychmiast z ławki, uchwycił dziecko i odepchnął je na bok, ale sam upadł przy tém i koło go przejechało.

Podnieśliśmy go z ziemi bez przytomności. Zanieśliśmy na łóżko i w kilku minutach przyszedł do siebie, lecz był tak ciężko-ranny, że co chwila się spodziéwano, iż ducha wyzionie.

)(

Pierwsze wyrzeczone przezeń słowo było zapytaniem o dziecko. Zapewnialiśmy go, że ocalało, ale nie chciał nam wierzyć i musieliśmy kazać je przyprowadzić, by się naocznie przekonał. Radość jego była nadzwyczajną, gdy je zdrowém i nie uszkodzoném oglądał. Płakał i śmiał się, przytułał je do łona i wtedy dopiéro można mu je było odebrać, gdy uczucia zupełnie prawie siły jego wyczerpały.

Chyrurg oświadczył, że biédny człowiek ten był zewnętrznie i wewnętrznie bardzo chory, i że mała była nadzieje, ażeby wyzdrowiał. Radził nam zatém, byśmy na wszystko pozwalali, czego tylko zapragnie.

Będąc niewinną przyczyną śmierci tego poczciwego człowieka, naturalnie, że starałem się, ile możności, osładzać mu ostatnie chwile jego życia. Zostałem się w gospodzie i siedziałem dzień cały koło jego łóżka. Dziecko, przezeń uratowane, musiano mu na wyraźne żądanie często przynosić. Od chwili, gdy przekonał się stary, że najmniéjszego nie poniosło szwanku, był zupełnie wesoły i spokojny. Wiedział, że umrzeć musi, lecz końca życia bez smutku oczekiwał, a chmury, często przed tém zdarzeniem czoło jego okrywające, zupełnie były zniknęły.

Wieczorem przed jego śmiercią znajdowałem się z nim sam na sam. Prosił mię o krople do pokrzepienia sił, i gdy mu je podałem, położył rękę na mojém ramieniu i rzekł: »Mój panie, jeźli wćpana nie znudzi gadanina starego człowieka, więcby mi to wielką ulgę sprawiało, gdybym mógł wynurzyć się przed wćpanem.« Prosiłem, ażeby mówił, a on tak zaczął opowiadać: »Umiéram spokojnie i zadowolony, i czuję się teraz daleko szczęśliwszy, jak byłem od dawna. Pewny ciężar spoczywa na mém sercu, z którego wprawdzie nie jestem jeszcze zupełnie uwolniony, lecz który daleko mniéj teraz mię uciska. Za pomocą Opatrzności stałem się narzędziem ocalenia dziecięcia. Jeźli miéć będę siły dosyć do opowiedzenia wćpanu jednego zdarzenia życia mojego, wtedy pojmiesz sam, jaki balsam pociechy myśl ta po duszy mojéj rozléwa.« Podałem mu łyżkę wzmacniającego lekarstwa, a on tak mówił daléj:

»Podczas odparcia Francuzów z Hiszpanii ku Portugalii, i odebrania miasta Badajoz, dywizyja, do któréj należałem, otrzymała rozkaz, wyciągnąć liniją środkiem gór, odgraniczających od strony północnéj Guadianę. Kilku kompanijom pułku naszego rozkazano, opanować wieś, opuszczoną przez wojsko francuzkie. Szliśmy przez kraj pusty, dziki, a do tego jeszcze zupełnie zrabowany, i nie mieliśmy najmniéjszéj znikąd pomocy. Od kilku dni nie widzieliśmy także żadnego jaszczyka z amunicyją, a porcyje żywności naszéj coraz się bardziéj zmniéjszały. Nie wiele mieliśmy nadziei znaleźć jakie miéjsce zaludnione, a gdyśmy do któréj włości przybyli, ta od uciekających Francuzów tak dalece zrabowaną była, żeśmy zaledwo kęs chleba dostać mogli. Najostrzéj jednak szukaliśmy wszędzie, będąc tego zdania, że włościanie musieli coś przecie przechować, i udało nam się tu i ówdzie w niektórych domach wino znaleźć. Żołniérz, mój panie, nie zna w przykréj służbie wojennéj większego ukontentowania, jak napić się czego mocnego, i przyznam się, że mały oddział nasz wkrótce z tego względu włość całą postrachem napełnił. Przetrząśniono wszystkie domy, a nie jeden biédak, co był tak szczęśliwy przechować przed nieprzyjacielem swoję ostatnią beczułkę wina, widział się teraz zmuszonym oddać ją swoim sprzymierzeńcom. Trzeba było widziéć to, panie, jak mieszkańcy na wszystkie strony się rozpierzchnęli, jedni z ostatnim kawałkiem chleba, drudzy z ostatnim dzbanem wina w ręku, a nasi ścigali ich z najokropniéjszémi groźbami i krokiem, łubo chwiejącym się z unużenia, wszelako przez chciwość uskrzydlonym.

*Vino! vino!* byłto odgłos, zewsząd słyszéć się dający. Żołniérz angielski, mój panie, bez wszystkiego obejść się może, oprócz bez mocnych napojów, a ja nie byłem lepszy od drugich. *Vino! vino!* krzyczałem także do pewnego, politowania godnego Hiszpana, który, łachmanami odziany, coś pod swoim podartym płaszczem ukrywać się zdawał. »*Vino non tengo* (nié mam wina),« odpowiedział, jeszcze prędzéj uciekając. Biegłem za nim gościńcem i byłby mi uciekł, gdybym mu był ścieszką poboczną nie zastąpił drogi. Schwyciłem go jedną ręką za kark, a drugą nadstawiłem mu bagnet do piersi i powtórnie krzyknąłem: Wina! wina dawaj! »*Non tengo vino*; *ninno*, *ninno es* (nié mam wina,

to małe dziecko),« odrzekł z taką bojaźnią i tak trwożliwie, że byłem jeszcze tego przekonania, iż ukrył beczułkę wina pod płaszczem. Szkaradny kłamco! zawołałem, kiedy nie chcesz mi dać wina, to niech je ziemia wypije! i, rzekłszy te słowa, z wściekłością pchnąłem bagnetem w to, co przyciskał do łona. O panie! w istocie, nie wino ztamtąd wypłynęło, ale krew, krew ludzka. Krzyk przeraźliwy obił się o moje uszy i serce moje, jak lodem, ogarnął. Nieszczęśliwy Hiszpan pokazał mi umierające dziecko, a osłupiałe oczy jego dobitniej, jak słowa, przemawiały do mnie: »Potworo! czy jużeś nasycony?« Padłem na kolana przed dzieckiem jego i usiłowałam krew zatamować. Nieszczęśliwy ojciec widział żal mój, przyjął pomoc moję, i czyniliśmy wszystko dla ocalenia ofiary niewinnej. Nadaremnie!«

»Możesz sobie wyobrazić, panie, że taki stary żołnierz, jak ja, co własne życie ocalił tylko utratą oka, ręki i nogi, i który w morderczych bitwach widział śmierć w różnych postaciach, śmiało jéj w oczy zagląda. Nie raz błagałem jéj dla moich rannych kolegów, widząc ich w okropnych męczarniach leżących, a częściej jeszcze błagałem dla siebie. Widziałem śmierć daleko straszliwszą, gwałtowniejszą i prędszą, gdy kula przeszyła serce walecznego żołniérza, kiedy jeszcze na twarzy jego kwitnął rumieniec czérstwości. Ale to wszystko nie tak mię przeraziło, jak widok młodego życia, powoli wypływającego z rany, którą niewinnéj zadałem istocie. Byłto błąd, urojenie, wiedziałem o tém dobrze i często to sobie powtarzałem; tak, byłoto urojenie, że téj okropnéj chwili, tego krwawego widowiska, nigdy z myśli pozbyć się nie mogłem — wszelako wszystko nadaremnie, straszne wspomnienie to nigdy mię odtąd nie opuściło, a jęk umierającego dziecka dotąd jeszcze brzmi w moich uszach. Boże, ojcze mój! dziękuję Tobie, że pozwoliłeś mi za tamto drugie niewinne dziecię ocalić, umiéram teraz spokojnie.« I w istocie, spokojnie umarł.

## E C H O.

Chciałem wesołą piosnkę zanucić,
Gdy noc już ciemne rozrzuciła cienie,
I chciałem przerwać natury milczenie,
Uśpione echa z mym śpiewem pokłócić.

Pieśń była krótka, pieśń wesołéj treści,
Pieśń, co westchnienie w głębi duszy tłumi.
Cicho — to echo!... nie, to wiater szumi;
Cicho — to echo!... nie, to liść szeleści.

I głos uleciał, ponure milczenie,
Liść zaszeleściał i wiater zaszumiał;
Prut daléj płynie, Prut mię nie zrozumiał,
Spełzło méj duszy gorące marzenie!

Więc nie ma echa w téj martwéj naturze,
Każde uczucie w duszy grób swój grzebie,
Więc nie ma echa na ziemi, na niebie,
W sercu wzrastają, w sercu gasną burze.

Westchnąłem — obok westchnęła i skała,
Słyszałem oddźwięk własnego westchnienia,
Jak się o twarde odbijał sklepienia
Głos czysty, jakby i w głosie łza drżała;

I echa w koło, ebudzone nagle
Wspólném westchnieniem, odbiły głos duszy,
Jak kiedy burza ciche wody wzruszy,
Zaszumi ostry wiatr w rozpięte żagle;

Jak z słońca promień, głos z duszy wypłynął,
Zamilkł — i w duszy zostawił milczenie;
Lecz ciągle własne słyszałem westchnienie,
Słaby głos głosów tysiące rozwinął.

I coraz ciszéj gubi się w oddali,
Jak wąż się wijąc między skały skrycie
Gaśnie, jak gaśnie w dziecku, w starcu życie,
Jak w kwiatu listkach nikną krople fali.

Więc i natura ma także westchnienie,
I naszą duszą jéj dusza oddycha,
Gdy źródło uczuć już w sercu wysycha,
Ona łzy suszy, podziela cierpienie.

Tam gdzie bezludne, dzikie, zimne góry,
Tam gdzie cyprysy rozrzucają cienie,
Tam gdzie grobowe wznoszą się kamienie,
Tam drzymią echa, tam dusza natury;

Ona ucieka od zgiełku, od ludzi,
Jak koń puszczony na stepy bez końca;
Lecz komu gasną już nadziei słońca,
Każdém westchnieniem jéj echo obudzi!

W górach Karpackich r. 1833.

KAROL ANTONIEWICZ.

## BITWA POD WATERLOO.

SKREŚLONA PRZEZ ŚWIADKA OCZNEGO.

*(Z Souvenirs militaires de 1815.)*

Napoleon powrócił z wyspy Elby do Francyi, a Ludwik XVIII. opuścił Paryż, dla przeniesienia dworu do Gandawy. Gdym przybył do tego miasta, od kilku dni nie miano tam wiadomości z Francyi, i trwoga panowała powszechna, ponieważ w nocy z dnia 16go na 17. Czerwca rozeszła się pogłoska

o klęsce armii pruskiéj, pomnażająca się z każdą chwilą i wzniecająca powszechną trwogę. Postanowiono zatém wysłać gońca do wodza angielskiego, a minister wojny, książę Feltre, mnie wybrał ku temu, ażebym zawiózł *depesze* ks. Wellingtonowi i na odwrót przywiózł dworowi francuzkiemu wiadomości z głównéj kwatery angielskiéj.

Na lichym stępaku pocztowym opuściłem Gandawę dnia 17go czerwca, w nocy o godz. 11téj, i udałem się drogą ku Bruxelli, do któréj w południe przybyłem, jadąc tak prędko, ile siły chudéj szkapy mojéj wystarczyć mogły. Koło 7méj godziny zdybałem się przy włości Mont St. Jean z oddziałem armii angielskiéj. Oficér z tego oddziału pokazał mi miéjsce, w którém książę miał się znajdować, i wkrótce ujrzałem grono oficérów angielskich na koniach, a było ich może dwudziestu. Gdym się dowiadywał o księcia Wellingtona, zapytał mię jeden z oficérów, byłto jenerał Murray, szef angiel. sztabu jeneralnego: »W jakim zamiarze chcesz wćpan mówić z książęciem?« — »Przywiózłem *depesze* od króla Ludwika,« odrzekłem. »Daj mi je wćpan,« rzecze Murray, »i pójdź za mną, a w godzinę otrzymasz odpowiedź.« Towarzyszyłem więc sztabowi jeneralnemu przez cały front armii angielskiéj, zajmującéj może liniją na 2000 sążni. Godzina, przeznaczona mi przez jenerała Murray przeciągnęła się do wieczora, i byłem ocznym świadkiem sławnéj bitwy.

Okolica była gęstą mgłą okryta, a ziemia rozmiękła od częstego dészczu, co lał dniem wprzódy. Utrudniało to przedsięwzięcie Napoleona i przeszkodziło mu uderzyć zaraz z rana na Anglików, coby mu było wielką korzyść przyniosło. Okolica koło Waterloo nie jest zupełnie równa, ale składające ją płaszczyzny są z sobą małémi pagórkami połączone. Na całém bojowisku odkryłem tylko jeden parów po lewéj stronie od armii angielskiéj, nad którym powznosili Francuzi bateryje, grające stanowczą rolę w oném wielkiém widowisku, co się poźniéj przed mojemi oczyma rozwinęło. Cała płaszczyzna była odartą z wszelkiéj wegetacyi, wyjąwszy las we Frischemont, odgraniczający ją po lewéj stronie, i grupy drzew, tu i owdzie rozrzucone.

Strawiliśmy kilka godzin na koniach; a około dziesiątéj wróciliśmy się w ono miéjsce przy gościńcu z Bruxelli, gdziem się był zdybał z jenerałem Murray. Byłoto miéjsce, z którego się książę Wellington podczas całéj bitwy nie oddalał. Nieustanne obroty zachodziły tymczasem w obu armijach. Anglicy maszerowali w linijach równoległych od 20, 30, 50 do 1000 sążni, Francuzi zaś postępowali w linijach odległych od siebie o 200 do 300 sążni. Rozstawiona koło Planchenois gwardyja cesarska, była od miéjsca, które zajmowałem, około 1200 sążni oddalona. Nareszcie około godz. 11téj usłyszeliśmy huk dział z prawéj strony. Byłoto wojsko pod dowództwem Hieronima, które atakowało. Toczyło walkę z Anglikami o posiadanie włości Hougoumont, którą brano i tracono na wzajem, a którą z równą atakowano, jak i broniono zaciętością. Znajdowali się tam ranni obu wójsk; nieszczęśliwi ci stali się poźniéj pastwą płomieni. Wkrótce pomnażał się huk dział i powoli po całéj rozszérzył się linii. Mogłem wyraźnie rozpoznać piechotę francuzką i kirasyjerów hrabiego Erlon. Widziałem powiewającą chorągiew w środku linii, a po prawéj ogromną pieszą bateryją. Lecz dym wzrastający zakrył ten widok i zarazem oznaczył mi rozmaite stanowiska. Dosyć opodal od linij francuzkich postrzegłem jeźdźca, który wolnym truchtem poprzed front przejeżdżał. W kilka chwil poźniéj widziałem tego samego jeźdźca, wracającego równym krokiem. Bateryje angielskie utrzymywały tymczasem mocny ogień, lecz to nie skłaniało bynajmniéj śmiałego jeźdźca do przypuszczenia konia Za pomocą dalekowidza dostrzegłem na nim mundur jeneralski i kapelusz z białémi piórami; dowiedziałem się poźniéj, że to był marszałek Ney, co się tak śmiało na ogień nieprzyjacielski narażał.

Tymczasem majestatyczny obraz bitwy coraz się więcéj rozwijał, lecz nie byłem w stanie dojrzéć szczegółów. Poźniéj dopiéro poznałem stratę, jaką Francuzi od dział angielskich ponieśli. Półtora godziny przebywałem na przeciw parowu, o którym wspominałem wyżéj, a który znajdował się po prawém skrzydle armii francuzkiéj. Tego, co się tam działo, byłem ocznym świadkiem, o reszcie zaś szczegółów tego sławnego dnia

zbiérałem niezawodne wiadomości z pewnych źródeł, i jestem w stanie prawdę donieść.

Na wzgórzach przed parowem panowały bateryje, z 36 dwunasto-funtowych dział złożone, pod dowództwem jen. Rutty. »Rutty,« rzekł Napoleon do niego, »popisz się wćpan dobrze ze swojémi bateryjami; los dnia dzisiejszego jest w ręku wćpana.« — »Najj. Panie,« odpowiedział Rutty, »pozwól mi W. C. Mość wziąć z sobą pułkownika Chandon.« — »Mniemaszli wćpan tego, któremu wczoraj *epauletty* dałem?« — »Tego samego, Najj. Panie. Chcę, ażeby dzisiaj na nowe zasłużył wawrzyny. Pozwalasz W. C. Mość wziąć go?« — »Dobrze, niech i tak będzie, jenerale; ale przede wszystkiém największa baczność! Pamiętaj wćpan o tém, com mu powiedział.«

Jenerał Rutty dowodził więc z pułkownikiem Chandon témi bateryjami, i utrzymywali ogień daleko więcéj skutkujący, niźli ich przeciwnicy, lubo i Anglikom nie brakowało na zapale. Widząc jenerał Rutty stanowisko to w tak dobrém położeniu, mniemał być obowiązanym zdać o tém raport cesarzowi, i tém pospieszném postanowieniem roztrzygnął los bitwy. Pułkownik Chandon sam więc dowodził i daléj tak dzielnie dawał ognia z dział, że huk bateryj angielskich coraz słabszym się stawał. Wojsko angielskie, zmuszone przechodzić koło tych morderczych bateryj dwoma krzyżującémi się drogami, padało od gradu kul francuzkich, jak liście od wichru w burzy tak dalece, że książę Wellington uważał odwrót nieodzownym i ten właśnie już na rozkaz jego rozpoczęto w dobrym porządku. Wkrótce potém ustał całkiem ogień dział angielskich i zdawało się, że Francuzi wygrali bitwę. Z radością postrzegł pułkownik Chandon odwrót nieprzyjaciela, ale ubolewał zarazem, że tenże oddalał się z obrębu dział jego. Postanowił zatém zmienić stanowisko, dla zbliżenia się ku nieprzyjacielowi. Chcąc to wykonać, musiał przez parów przechodzić. Miasto, jak się należało, posuwania się bateryjami, to jest: miasto przeprowadzenia najprzód prawego, a potém lewego skrzydła swoich bateryj, przezco nie byłby dopuścił, ażeby ogień ustał zupełnie, na raz wprowadził do parowu wszystkie swoje 12funtowe działa.

Książę Wellington nie mało był zdziwiony ustaniem ognia dział francuzkich i zniknieniem bateryj ze wzgórzów. Znawczemu oku jego nie uszedł błąd popełniony przez pułkownika Chandon, a jenijusz jego nie mógł nie korzystać z tak pomyślnej okoliczności. Parów był bardzo bagnisty, francuzka artyleryja zatém potrzebowała do przejścia go wiele czasu. Natychmiast więc dał książę rozkaz dwu pułkom dragonów Ponsonby, ażeby z rozpuszczonémi cuglami do parowu wpadły. Rozkaz ten z szybkością błyskawicy wykonano i zacięty atak nastąpił. Artylerzyści francuzcy nie byli w stanie użyć broni swojéj, lub uformować liniją; zaledwie tyle mieli czasu, że mogli karabiny wydobyć z bandulierów i bronić się bagnetami. Konie zaprzęgowe, działa, jaszczyki z amunicyją, zgoła wszystko przyczyniło się do tego, by pomnożyć zamieszanie tego niespodziewanego ataku. Wpadający ze wszech stron dragoni byli za nadto liczni, ażeby im się oprzéć było można; ich konie, będąc niezmiernéj siły, waliły i tratowały wszystko. Ciężka artyleryja, nie uzbrojona, usiłuje na próżno ocalić się ucieczką; wszelki odwrót jest jéj zamknięty. Powszechna powstaje walka. Ludzie, konie, działa i jaszczyki, z których kilka zapaliło się, w dzikiém zamieszaniu wpadają między siebie; śmierć i zniszczenie są to hasła téj okropnéj walki. Wkrótce wszystkie, z 36 dział złożone bateryje, wraz z swoim zaprzęgiem, z jaszczykami i z artylerzystami stały się tylko kupą krwią zbryzganych szczątków i oszpeconych trupów. Anglicy zwyciężyli; — szczęśliwa gwiazda Napoleona zaszła na zawsze!

Skoro tylko bateryje zniszczone zostały, kazał Wellington, jak po tak oględnym wodzu spodziéwać się należało, wstrzymać wsteczne obroty i użył poruszeń zaczepnych.

Napoleon przebywał na drewnianéj uważalni, którą wystawić kazał między korpusem Hieronima, a gwardyją odwodową, dla lepszego uważania obrotów obu armij. Postrzegłszy raptowne milczenie bateryj, posłał Labédoyera dla obaczenia, co się tam działo w parowie. Labédoyere powrócił wkrótce z wieścią, że bateryje zupełnie zniszczone. »To nie podobna!« zawołał zdziwiony Napoleon. Labédoyere raportował, jak się to stało; poczém Napoleon w gniewie zawołał: »Rutty! Rutty! dla czego opuściłeś wćpan swoje stanowisko? Nieszczęśliwy! cóżeś uczynił?«

Natychmiast dał rozkaz Labedoyerowi, ażeby gwardyją artyleryi konnej, złożoną z 24 dział, wyprowadził na wzgórza parowu. Wkrótce ujrzałem artyleryją tę lecącą z rozpuszczonémi cuglami, a tuż za nią przybył Napoleon na wzgórza parowu, i sam wyznaczył stanowisko pierwszéj bateryi. Był wtedy kwadrans na trzecią godzinę. Gwardyja artyleryi dawała ognia dzielnie i szybko, lecz odpowiadające jéj działa angielskie przewyższały ją w wagomiarze, a ich ogień był więcéj morderczy. Gdy pierwsze działa bić zaczęły, zsiadł Napoleon z konia, obrócił się tyłem do Anglików i wsparty na ramieniu Drouota, patrzał przez dalekowidz na swoję armiją, rozciągnioną w około niego w pół-kolu. Tak bardzo był w myślach zanurzony, że zapominał o kulach angielskich, które wysoko leciały i wszystkie prawie padając po między rozstawioną daléj gwardyją artyleryi pieszéj, okropne w jéj szeregach robiły spustoszenie. W tém jedna kula angielska drasnęła kapelusz jenerała Drouot. »Każ wćpan oficerom zsiąść z koni,« zawołał Napoleon do jenerała, wsiadł na koń i poleciał czwałem. Pułkownik gwardyi artyleryi przebiegał o w pół do trzeciéj godziny swoje bateryje i wołał na kanonijerów: »Miarkujcie ogień wasz, dzieci! zaczyna nam amunicyi brakować!« Wnet ustał silny ogień i wystrzały coraz rzadziéj padały.

Wtedy opuściłem miéjsce moje i zbliżyłem się do środka armii angielskiéj, koło Haie-Sainte. Włość ta była w ciągu dnia tego kilkakrotnie zdobywana i tracona. Raptem powstał ruch wielki w armii francuzkiéj. Napoleon kazał wojsku odwodowemu naprzód wyruszyć i zbiérał wszystkie siły swoje; widać było, że szło mu o to, ażeby bitwę ukończyć. Prusacy zdawali się go niepokoić, bo słusznie wątpił, że Grouchy ze swojémi 40,000 ludzi nie da im rady. Anglicy osadzili Haie-Sainte dwunastą działami ciężkiego wagomiaru, wspartémi przez kilka batalijonów piechoty. Działa te zakryte były długą krzewiną (*haie*), która włości onéj bezwątpienia nazwę nadała. Anglicy zachowali ponure milczenie, widząc gwardyje postępujące dywizyjami do ataku, gdyż każdy z nich czuł dobrze, że to będzie zacięta i stanowcza walka. Marszałek Ney i jenerałowie Friant i Michel prowadzili w ogień kolumny. Na czele postępował pierwszy batalijon trzeciego pułku grenadyjerów, dalej czwarty pułk strzelców i grenadyjery, którzy razem formowali tylko jeden batalijon, z powodu straty, jaki dnia 16go pod Ligny ponieśli. Trzeci pułk strzelców tworzył koniec oddziału.

Każdy żołnierz uważał to, w jak krytycznem położeniu musi być Napoleon, kiedy zmuszony był użyć do wzięcia reduty gwardyj swoich, które niegdyś nieprzyjaciołom zwykł był tylko pokazywać, mówiąc im niejako: »Zwyciężyłem, lubo gwardyje nawet w ogniu nie były!« Tymczasem gwardyje zbliżyły się spokojnie i z determinacyją aż o wystrzał działowy — działa angielskie milczały jeszcze — a gwardyje w najlepszym porządku postępowały naprzód, na których czele znajdowali się konno jenerałowie Ney, Friant i Michel. Zaledwo zbliżyły się gwardyje o połowę działowego wystrzału, gdy 12 ukrytych za krzakami dział angielskich powitało nadciągających ogniem kartaczowym. Pierwsze szeregi przytłoczono prawie kulami. Jak gdyby nic nie zaszło uzupełniono kolumny, i miano zaledwo czas do postrzeżenia chwilowego nieporządku. Posuniono się wreszcie blizko saméj reduty, nie zrobiwszy wystrzału; tu po raz drugi powitała Francuzów wystrzałem artyleryja angielska, który gwardyja przyjęła okrzykiem: *Vive l'Empereur!* Okropne widowisko okazało się moim oczom! Więcéj jak połowa tych walecznych padła na ziemię. Jenerał Michel poległ od kuli, a jenerał Friant został ciężko raniony. Powszechna przerwa nastąpiła w boju. Batalijon pierwszy 3go pułku gwardyi wstrzymał się. »*Mes braves, en avant, et vive l'Empereur!*« zawołał jenerał Poret de Morvan, dowodzący gwardyją — *en avant! vive l'Empereur!* odpowiedziało wojsko i w szturmie postąpiło naprzód. Ney, straciwszy konia od kuli, z orężem w ręku pieszo postępował na czele. Teraz z prawéj i z lewéj strony rozwinęły się kolumny i zaczęły sypać gęsty ogień z broni ręcznéj. Kolumny środkowe wtedy dopiero dały ognia, gdy działa angielskie bagnetami zdobyły. Te, jak się wyżéj rzekło, przez kilka batalijonów piechoty bronione były, na którą Francuzi po drugim z dział wystrzale taką siłą z bagnetami wpadli, że Anglicy zmuszeni byli cofnąć się, lecz wkrótce nowém wojskiem wzmocnieni, uformowali nową, dobrą artyleryją wspartą liniją. Śmiało rzuca się gwardyja na ten nieprzebity mur — ale tu było już po niéj! Kule angielskie obałały całe plutony. Jenerał Mallet, majorowie Cardinal, Angelet, Agnes, i większa część dowodzców kompanij pada na placu. Prawie wszyscy oficerowie byli ranni. Z 1000 ludzi, z których się składał trzeci pułk strzelców, 700 padło. Nie było żadnych kolumn, żadnych szeregów więcéj; tylko tu i owdzie, ocalony od rzezi, stał samotny żołnierz i stąpając nogą po trupie swojego kolegi, dawał ognia, jak gdyby chciał śmierć tylu walecznych uczcić ostatnim wystrzałem. Sam Napoleon pospieszył w pomoc z drugim batalijonem trzeciego pułku grenadyjerów. Na próżno jeszcze chciał jenerał Guyot przypuścić atak ciężką jazdą. Padł ugodzony dwoma kulami; poległ także jenerał Jamin. Zwycięztwo Anglików zupełnie roztrzygnione zostało. — Tymczasem gwardyja artyleryi konnej zmuszona była przez Prusaków, których z początku za korpus jenerała Gruchy miano,

opuścić o godzinie 4tej stanowisko w parowie. Od tej chwili zaczął się nieporządny odwrót Francuzów i około 6tej zmienił się w zupełną ucieczkę. Widziano, jak Napoleon, otoczony jenerałami Soult, Ney, Bertrand, Drouot, Corbineau, Flahaut i Labedoyére uchodził przed Prusakami w środku czworobocznej, przez Combrona dowodzonej kolumny. O godzinie 8mej, w towarzystwie oficerów rozmaitej broni, zmienił konie koło małego potoku Jennapes, i na zawsze widownią swojego upadku, oraz dawne państwo swoje opuścił.

— Ze Lwowa. —

Zeszyt czwarty »Pism Julijana Alexandra i Julii Adelli Kamińskich« opuścił prassę w drukarni Piotra Pillera. — W téjże wytłoczni zaczęła się już drukować zapowiedziana powieść historyczna K. W. Wójcickiego we dwóch tomikach, pod nazwą: Kurpie.

Pan Maszkowski, zaszczytnie znany malarz i profesor rysunków w tutejszéj akademii, ukończył w dniach tych portret Najj. Cesarza Austryi Franciszka I. przeznaczony dla Stanisławowa. Dzieło to policzyć można między celniéjsze z rodzaju portretowania; ma trzy ćwierci wielkości i wyobraża całą osobę Najj. Pana tak trafnie i tak doskonale, jak tu kiedykolwiek była widziana. Wiele pracy zadał sobie artysta i rzecz każdą w szczególności wykończył z przemawiającą, że tak rzekę, prawdą. Miłośnicy sztuk pięknych zadziwiali się nad tem arcydziełem i uwielbiali talent pana Maszkowskiego. Poczytujemy za rzecz przyjemną i zajmującą donieść o tem czytelnikom naszym.

Podczas tegorocznego królewskiego strzélania w tutejszéj uprzywilejowanéj miéjskiéj strzelnicy, członkowie towarzystwa strzeleckiego i miłośnicy strzelania wystrzelili 1801 razy, z których 515 razy trafiono w obwód blizko czarnego, 99 razy w piérwszy, 76 razy w drugi, 60 razy w trzeci, a 21 razy w czwarty obwód czarny; pięć gwoździ czyli samo centrum wybito. Pomiędzy najlepsze wystrzały rozdzielone zostały 30 nagród, wyznaczonych w pieniądzach od 80 do 1 złr. m. k. i oprócz tego ten, który miał najwięcéj czarnych wystrzałów w piérwszéj położonéj składce, otrzymał w nagrodę medal srébrny na pamiątkę, założony na ten cel od towarzystwa strzeleckiego w r. 1834.

Z Warszawy. Dnia 28go maja dawał tu koncert na skrzypcach JP. Karol Lipiński i publiczność nader licznie zgromadzona przyjęła go ze zwykłém uniesieniem i zasłużonemi osypała oklaski. Tutejszy Dziennik Powszechny z dnia 30. maja r. b. umieścił pochwalną w najwyższym stopniu recenzyją tego koncertu, nazywając Lipinskiego mężem, »który, ile wzniósł niebiańską krainę muzyki, tyle »zaszczytu przynosi ziemi, która go wydała.« Inne pisma warszawskie z równym zapałem wspominały o koncercie JP. Lipińskiego, a między innemi Kuryjer Warszawski wyraził się w ten sposób: »Wielkie talenta z roku do roku »podlegają pewnym odcieniom, wynikającym z modyfika»cyi uczuć, które zależą od władzy czasu. Dla tego jeden »drugiego zapytuje, czy znajdujesz jaką różnicę w talencie »pana Lipińskiego? Tak jest, znajduję. JP. Lipiński jest »teraz w pełni swoich zasobów duszy i umiejętności. Męz»kość i siła jest taż sama, jak dawniéj, ale teraz łagodność »i słodycz zdobią tę męzką fantazyją i zarody niegdyś zu»chwałéj śmiałości. Dawniéj widzieliśmy, jak pan Lipiński »niesłychane pokonywał trudności, teraz widzimy, jak igra »z niemi, że niczém są dla niego i t. d.«, Dowiadujemy się z poprzedzającego numeru Dziennika Powszechnego, czegośmy sobie ku sławie narodu naszego dawno życzyli, że sławny wirtuoz ten postanowił w r. b. odwiédzić północno-zachodnie kraje europejskie i udać się do Paryża i Londynu. Tenże dziennik z d. 1. czerwca donosi: »Dnia 31go maja był tu nader świetny wieczór muzyczny w Resursie Kupieckiéj. Prócz różnych najnowszych kompozycyj, wykonano kwartet znanego kompozytora naszego, Franciszka Lessla, któreto dzieło z wielkiém przyjęto zadowoleniem. Pomiędzy słuchaczami (których liczba wynosiła 150) znajdował się i Karol Lipiński, za którego zdrowie spełnili w czasie wieczerzy wielbiciele prawdziwych talentów.«

Zwracamy uwagę na dziełko pod nazwą »Wywód praw spadkowych sławiańskich Józefa Hube,« w Warszawie wydane r. 1832. Rozprawa ta, ważną gałęź prawodawstwa sławiańskiego objaśniając, poprzedziła głośne dzieło Wacława Maciejowskiego: »O prawodawstwie Sławian,« którego dotychczas dwa tylko tomy posiadamy.

Z Krakowa. Hrabina z Rossockich Bystrzonowska złożyła na ręce prezesa senatu mumiję egipską, którą syn jéj Ludwik, zwiedzając Egipt w czasie przedsięwziętéj przez siebie podróży naukowéj, nabył i do Krakowa przez Triest nadesłał, celem ofiarowania jéj uniwersytetowi jagiellońskiemu, którego był uczniem, w dowód wdzięczności. Rząd krajowy wynurzył ofiarującemu swoję wdzięczność i rozporządził, aby dla zaspokojenia ciekawéj publiczności przez dni kilka wolny był przystęp do oglądania téj mumii, z wielu względów godnéj widzenia, a szczególniéj dla napisów hieroglificznych, któremi trumna zewnątrz i wewnątrz jest napełniona, równie jak dwa wieka, mające wyobrażać złożoną w trumnie osobę. Mumiję tę oglądało przez dni kilka takie mnóstwo ciekawego ludu, mającego dziwne wyobrażenie o tym starożytnym zabytku, że od rana do wieczora wszystkie wnijścia do sali były jakby oblężone. (G. K.)

Familija Kątskich dawała w Wiédniu koncert pożegnawczy i zamyśla opuścić tę stolicę.

W Paryżu wyszedł Korsarz Byrona, przełożony wiérszem przez Ant. Ed. Odyńca. Dawniéj prozą przełożyła go w Warszawie pani Wanda Malecka.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, pamiętna pochlebnéj wziętości, jaką uzyskały przed kilką laty wydawane w Warszawie jéj »Rozrywki dla dzieci,« umyśliła wznowić ten dziennik i wydawać Nowe rozrywki dla dzieci. Pismo to, zupełnie obce polityce, lecz w tym samym duchu i celu, jak dawne, wychodzi kwartalnie, ozdobnym drukiem i na pięknym papierze. Jestto ciąg dalszy przerwanego w Warszawie pisma, a rozpoczętego przed dwoma laty w Poznaniu i dopiero teraz w Paryżu doprowadzonego do skutku.

W Nr. 16. pisma naszego z b. r. wspomnieliśmy o drukowanym w Paryżu u pp. Lecointe i Pougins, a napisanym w języku francuzkim przez panią Franciszkę z domu Torri Trembicką, romansie, pod tytułem: *Le dernier des Gibelins* (Ostatni potomek Gibelinów). Zostawując innym pismom rozbiór tego dzieła, którego bez wątpienia nie pominą, ograniczamy się na poznajomieniu czytelników naszych z samą autorką, o któréj wiadomość z wiarygodnych czerpaliśmy źródeł. Franciszka z domu Torri Trembicka ze względu na rozległe wiadomości w rozmaitych gałęziach nauk, a szczególniéj historyi i pięknéj literatury, może być śmiało policzona w rząd uczonych kobiet naszego wieku. Posiada znajomość wszystkich prawie języków zachodniéj Europy i kilku sławiańskich, i ma nadzwyczajną łatwość tłumaczenia w nich ustnie i przez pismo swoich myśli. Zachwycająca naturalnością i rozsądkiem w pożyciu towarzyskiem, jest ozdobą towarzystw salonowych Paryża. Dzieło wspomnione jest pierwszym jéj utworem, i myśli następnie wydać więcéj podobnych.

W języku szwedzkim wyszło r. b. dzieło: *Anteckningar under en Resa till och ifrån Warschau* i t. d. (Uwagi w podróży do Warszawy tam i na powrót r. 1831); przez S. J. Stille.

**Anegdota.** Gdy Jan Sobieski zachęcał do boju żołnierzy pod Wiedniem r. 1683, za jego idąc przykładem spowiednik także w obozie polskim rozumiał, że obowiązkiem jego było, zagrzewać do męztwa. Jak ów Leonidas, zapraszający współ-rodaków swoich na biesiadę do Plutona, ten toż samo wołał: »Bracia! Kto z was dzisiaj mężnie na placu legnie, ten będzie jadł wieczerzę z patronem Ś. Stanisławem!« W tém w kotły uderzono, trąby dały hasło do boju, i huk dział rozpoczęcie bitwy ogłosił. Gdy Turcy zaczęli na okopach z dział dawać ognia, kapłan ze strachu konia swojego zwrócił, co uważając jeden z hussarzy odezwał się: »*Reverendissime*, a wieczerza?« Prałat zacinając z całej siły chudego podjezdka, odpowiedział: »Dzisiaj jestem z suchotami!« i — zniknął.

Pomiędzy trzydziestu-kilku sektami religijnémi, istnącémi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, na szczególną zasługuje uwagę sekta braci czesko-morawskich (*Herrnhuter*). Mimo, że język angielski jest panującym w Ameryce północnéj, zatrzymali oni swój staro-sławiański język, którym się modlą i nawet rozmawiają między sobą. Jeden z takich braci czesko morawskich, przybywszy przed kilką laty do Pragi, zadziwił uczonych czeskich czystością swojego starożytnego czesko-słowiańskiego narzecza.

U Uskoków, w Dolnéj-Krainie, panuje zwyczaj, że matka podczas pogrzebu dziecięcia swojego kołyskę jego niesie na głowie. Gdy pogrzebują dziecię, matka okropnie na śmierć narzeka, że jéj dziecko zabrała, z którego byłby bohatér, lub inny znakomity człowiek, i mowę swoję kończy następującemi wyrazy: »O ty okrutna, szkaradna, niegodziwa, nieubłagana śmierci, zabrałaś i zjadłaś mi dziecko! Weźże teraz i kołyskę jego i zapchaj sobie nią gębę, ażeby ci się zęby połamały.«

Towarzystwo pokoju w Genewie rozpisało konkurs na rozprawę w przedmiocie następującym: »Oświécić powszechność o złych skutkach wojny, a oraz wykazać najlepsze środki do uzyskania powszechnego i trwałego pokoju.« Księgarz M. A. Cherbuliez w Genewie udzieli, na żądanie ustne, lub w listach frankowanych, obszernego programatu tego konkursu, którego warunki są téj treści: 1) Rozprawy mogą być pisane w językach francuzkim, angielskim, niemieckim, włoskim albo łacińskim. 2) Autor uwieńczonej rozprawy dostanie, według upodobania, lub złoty medal, wartości 500 fr., lub metalowy, do którego 400 franków w pieniądzach dołączone zostanie. 3) Autor najlepszéj rozprawy po uwieńczonej dostanie medal srébrny. 4) Autor, zasługujący na zaszczytne wspomnienie, otrzyma medal z bronzu. 5) Uwieńczone rozprawy nagrodowe, równie jak te, co na zaszczytne wspomnienie zasłużyły, zostaną własnością towarzystwa pokoju w Genewie. 6) Rozprawy te mają być z opłatą poczty przesłane założycielowi i prezydentowi towarzystwa tego, hrabi de Sellon, mieszkającemu w ulicy *de Granges à Geneve*, przed pierwszym lipca r. 1835, opatrzone dewizą, mającą w zapieczętowanym liście zawierać imię autora.

Najpiękniejszy napis na grobie, jaki starożytni Rzymianie poczciwéj gospodyni domu położyli, był następujący:

*Casta vixit,*
*Lanam fecit,*
*Domum servavit.*

(Żyła w czystości, przędła i pilnowała domu.)

Ileż z naszych dzisiéjszych piękności miałyby prawo do takiej, lub tylko do podobnej pochwały?

W *Journal de Smyrna* czytamy następującą wiadomość: Jeden z mieszkańców wsi Funduhli poruczył podczas święta Bairamu niewolnikowi swoje dwuletnie dziecko, owinięte szalem i mające na głowie złotémi monetami ozdobioną czapkę. Dziecko siedziało na podwórzu, niewolnik oddalił się na kilka chwil, lecz powróciwszy nie zastał już dziecięcia. Wszelkie poszukiwanie było nadaremne. Ojciec udał się więc do seraskiera i opowiedział mu ten przypadek. Urzędnik zrobił postrzeżenie, że dziecko z powodu krzyku swojego nie mogło być za daleko uniesione, a zatem zdaje się być rzeczą podobną, że od jednego z sąsiadów skradzione być musiało. Posłał zatem posłańca swojego do poblizkiéj wioski, i kazał imana, to jest kapłana téjże, właśnie gdy się znajdował w meczecie na modlitwie, przywołać do pałacu, tak wszakże, ażeby to cała gmina słyszéć mogła. Gdy iman przybył, rozkazał mu seraskier, ażeby nazajutrz był znowu u niego i tego wymienił, co pierwszy doń przyjdzie i zapyta się, czego od niego chciał seraskier. Turcy nie są w ogólności ciekawi; gdy więc iman poszedł nazajutrz do meczetu, jeden tylko człowiek zapytał go, co za pilny interes miał do niego urzędnik. Iman zbył go obojętną odpowiedzią i imię pytającego się doniósł natychmiast seraskierowi. Uwięziono go więc i pod schodami domu jego znaleziono zagrzebane ciało zamordowanego dziecięcia. Zbrodzień, sąsiad nieszczęśliwego ojca, został natychmiast utopiony.

Zmarły baron de Fernour ozdobił był park swój w St. Quen koło Paryża pysznémi zwierciadłami, które, odbijając okolice, bardzo piękny widok sprawiały. Dnia pewnego zastał ogrodnik pawia przed zwierciadłem, który ogón roztaczał i patrzał na siebie. Ogrodnik powrócił w kilka godzin poźniéj i zastał jeszcze pawia tego przed zwierciadłem. Zapędził go więc do ptaszarni, lecz paw, skoro tylko wolność odzyskał, znowu wrócił do zwierciadła i porzucił najlepsze jadło. Baron kazał mu jadło postawić koło zwierciadła, ale ptak nic nie jadł, a we dni kilka znaleziono go nieżywym. Próbowano więc drugiego pawia, a ten robił także tak samo. Możemyż dziwować się teraz, że człowiek często zamiłuje się w zwierciedle, kiedy ptak nierozumny téj ponęcie oprzéć się nie mógł, lubo zachodzi pytanie, co go tak do zwierciadła pociągało, czy własna jego postać, czyli wyobrażenie współ-zalotnika?

Gdy uczony Francuz Beautru był w Hiszpanii, odwiédzał sławny księgozbiór w Eskuryjalu. Tam rozmawiał z biblijotekarzem i powziął o nim zdanie, że to jest człowiek wcale bez żadnych literackich wiadomości. Król hiszpański zapytał się Beautrego podczas posłuchania, jak się mu biblijoteka podobała. »Bardzo ładna,« odpowiedział tenże, »ale W. K. Mość powinieneś biblijotekarza zrobić ministrem skarbu!« — »A to dla czego?« zapytał król z zadziwieniem. »Ponieważ tenże,« odpowiedział Beautru, »nie zrobi żadnego użytku z poruczonych sobie skarbów.«

Piszą, że w Botany-Baj, miejscu, dokąd zbrodniów z Anglii wywożą, założona została opera włoska pod dyrekcyją pa. Boisisio, byłego przełożonego orkiestry w teatrze Luxemburskim. Botany-Baj i opera włoska sąto wyrazy, które z podziwieniem obok siebie widzimy.

Podczas wielkiéj posuchy w r. 1832 składał panujący teraz cesarz chiński nadzwyczajną ofiarę niebu, i umieścił w Gazecie Pekińskiéj stosowną do tego modlitwę, z któréj wyjmujemy następujące miejsce: »Składając ofiary byłemże kiedy bez uszanowania ku niebu? Czyż duma i zarozumienie opanowały serce moje? Czyż byłem opieszałym w mojem powołaniu cesarskiém? Pozwalałżem sobie nieprzyzwoitych mów i zasłużyłżem dla tego na napomnienie? Czyliż nagrody i kary nie zawsze podług zasług wymierzałem? Głos prześladowanych czyż nie był ode mnie słyszany? Czyż niegodziwych obierałem urzędników, coby lud mój dręczyli? Niewinną wylewałżem krew? i t. d. i t. d. Na klęczkach upraszam nieba, by nad niewiadomością moją ulitować się raczyło. Grzechów moich jest tak wiele, że z trudnością tylko ujść im mogę. Z czołem, ku ziemi schylonem, błagam nieba, ażeby jak najprędzéj zesłało mi łaskawą pomoc — to jest: ażeby zesłało, jak najprędzéj, dészcz dobroczynny, i winy moje choć w części zdjęło ze mnie.«

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.